OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 15 Marca 1865 roku.

Nr 11. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

BEZPŁATNA SZKOŁA RYSUNKÓW

w Warszawie.

Niejednokrotnie pisma warszawskie zajmowały się sprawą założenia bezpłatnéj szkoły rysunków, bądź dla rzemieślników wszystkich, bądź też dla saméj tylko czeladzi rzemieślniczéj. Dziś pośpieszamy udzielić wiadomość, iż szkoła rysunków założoną została, co więcéj nawet, że z dniem dzisiejszym lekcje rysunków już się rozpoczynają. Władza Edukacyjna poleciła urządzić tę szkołę, pod nazwą Klassy Rysunkowéj, przy Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie. Klassa ta mieści się w zabudowaniach pałacu Kazimierowskiego, w salach, gdzie dawniéj mieściła się wspomniana Szkoła Sztuk Pięknych. Nauka udzielaną jest bezpłatnie. Uczęszczać zaś do téj szkoły mogą wszyscy, bez różnicy wieku, wyznania i zatrudnienia, a zatem chrześcijanie i żydzi; młodzi i starzy — terminatorowie, czeladź, majstrowie, uczniowie szkół, pracujący przy jeometrach i budowniczych, żyjący przy rodzicach lub opiekunach, słowem wszyscy, którzy tylko pragną się czegoś nauczyć. Warunki przyjęcia do Klassy Rysunkowéj są następujące:



Teatr w Krakowie. — (Wycięto w drzeworytni wiedeńskiéj Waldheima).

Pragnący uczęszczać do Klassy Rysunkowéj obowiązani są:

1) Złożyć świadectwo dobréj konduity; jeżeli uczniowie szkół — to od Władzy Szkolnéj,— jeżeli terminatorowie lub czeladnicy,—to albo od majstra, u którego pracują lub od właściwego cechu;—jeżeli zaś nie zaliczają się do powyższych dwóch kategorji,

to w takim razie świadectwo od gospodarza domu, poświadczone przez Kommissarza Policyjnego.

2) Okazać książeczkę legitymacyjną, lub inny dowód swego zamieszkania.

3) Niepełnoletni (to jest niemający lat 21), złożyć powinni świadectwo rodziców lub opiekunów, że życzą sobie, aby ich synowie lub wychowańcy uczęszczali do Klassy Rysunkowéj.

4) Przedstawić własnoręczne prace rysunkowe, na dowód swego usposobienia, a także świadectwa osób, u których kandydaci pracują.

5) Przy zapisie złożyć w Kancellarji Szkoły Sztuk Pięknych kaucji rs. 3, na przypadek uszkodzenia wzorów lub innych ruchomości należących do szkoły; kwota ta zwróconą będzie przy opuszczeniu Klassy Rysunkowéj.

Chcący przeto zapisać się do Klassy Rysunkowéj, mogą się zgłaszać z powyższemi dowodami do Kancellarji Szkoły Sztuk Pięknych codziennie, wyjąwszy dni świąteczne i niedzielne, w godzinach od 10-éj do 12-éj zrana, gdzie powezmą dalszą informacją; a po nastąpionéj decyzji, co do ich przyjęcia, uzyskają stosowne bilety.

Klassa Rysunkowa dzielić się będzie na dwa oddziały:

niższy, czyli graficzny i
wyższy, czyli ornamentyczny.

Z początku atoli, tylko pierwszy oddział otwartym zostaje.

Lekcje, jak już powiedzieliśmy, rozpoczęte z dniem dzisiejszym, dawane będą codziennie, mianowicie: w dni powszednie od 9-téj do 12-éj zrana, a w niedzielę i święta od 2-éj do 5-éj po południu.

Professorami będą wszyscy professorowie Szkoły Sztuk Pięknych, bez wyjątku.

Podawszy tę wiadomość do wiedzy naszych czytelników, dodamy tu jeszcze kilka uwag.

Klassa Rysunkowa, tak jak jest obecnie urządzona, przeważnie służyć może jedynie młodzieży, nieograniczonéj obowiązkami swego zatrudnienia, czyli właściwie dla młodzieży niefachowéj, nie mającéj stałych obowiązków. Terminator lub czeladnik rzemieślniczy, tylko w niedzielę do niéj pójdzie, bo w dzień powszedni pracować musi w warsztacie; uczeń szkół w niedzielę lub wakacje tylko uczęszczać może, bo w inne słuchać winien kursów szkolnych; pomocnicy jeometrów lub budowniczych, jeżeli z tego żyją, także tylko w niedzielę Klassę Rysunkową nawiedzać będą mogli; tak, że w końcu na dni powszednie, wypadnie bardzo mała liczba uczniów, czasem swym swobodnie rozporządzać mogących. To jedno. Drugą niedogodnością jest połączenie w jednéj sali np. terminatora z czeladnikiem, co lubo jest małoznaczącem z pozoru, dla wielu jednakże ściśle poważających przepisy cechowe, jest niedogodnem, ba i nieznośnem nawet.

Chcąc zatem, aby Klassa Rysunkowa istotnie dobre skutki wydała, potrzebaby przedewszystkiem:

1, aby lekcje rysunków odbywały się w godzinach wieczornych, i

2, aby przeznaczono oddzielne dni np. dla terminatorów, dla czeladzi i dla innych uczniów.

Jeżeliby zaś wykłady w porze wieczornéj żadną miarą przeprowadzić się nie dały, to przyjmując już wykład w godzinach rannych lub południowych, oddzielne wykłady koniecznie zaprowadzić należy. I tak:

Ponieważ czeladnicy, w dni powszednie pracując na swe utrzymanie, nie mogą uczęszczać do szkoły, dla nich zatem, lekcje rysunków wypadałoby dawać w niedziele i w dni świąteczne.

Ponieważ interes osobisty majstrów rzemieślniczych nie dozwala, aby ich terminatorowie codziennie przepędzali pół dnia na nauce rysunków — a na posyłanie ich kilka razy na tydzień prędzéj zgodziéby się mogli, — należałoby zatem, dwa razy w tydzień np. we wtorek i piątek, dawać lekcje rysunków dla samych tylko terminatorów.

Ponieważ uczniowie szkół obowiązani są uczęszczać regularnie na kursa szkolne — dla nich więc także wypada wyznaczyć dwa dni, np. wśrodę i sobotę i to nie zrana, lecz po południu, jako w godzinach rekreacji, we wszystkich szkołach zaprowadzonych.

Dla wszystkich zaś innych elewów, pozostaje te dwa dni w tygodniu t. j. poniedziałek i czwartek wyznaczyć, o ile można najraniéj, to jest: od godziny 8-éj do 11-éj.

Dziś ograniczamy się na tych tylko uwagach; ale spodziewamy się, iż często jeszcze o Klassie Rysunkowéj mówić nam przyjdzie.

TEATR w KRAKOWIE.

Składną i miłą przedstawiający całość, chociaż nie imponujący i nie uderzający, ani wykwintną strukturą, ani ogromem, gdyż zbudowany skromnie w stylu florenckim, który w epoce wysokiego rozwoju architektury, powszechnie prawie do większych budowli zastosowywano, — teatr Krakowski, przyrównany być może do dziewczęcia:

Co skromniuchne, lecz ładne,
Niewspaniałe, lecz składne,
Nie bogate, lecz skrzętne:
Co tem tylko ponętne,
Co li z tego się ceni,
Że zasługą promieni.

Nie można bowiem zaprzeczyć, że teatr Krakowski, niemało się zasłużył literaturze dramatycznéj, pobudziwszy kilka znakomitszych zdolności, do spróbowania sił na tem polu. Jemu to jedynie zawdzięczyć musimy wzbogacenie literatury naszéj, takiemi znakomitemi dramatami, jak: Halszka z Ostroga, Lubomirski, Twardowski i Dzierżanowski — wszystkie utworu Józefa Szujskiego, zaszczytnie znanego pisarza; nie wymieniając już wielu innych dzieł scenicznych i autorów, pomiędzy którymi szczególniéj odznaczył się Edward Lubowski w komedji, a do czego był mu podnietą teatr w Krakowie.

Budowę przedstawionego na rycinie teatru, ukończono ostatecznie zaledwie w r. 1842, gdyż dopiero dwa lata przedtem, Senat Rządzący w Krakowie, nabywszy stary w tem miejscu stojący teatr, po zmarłym Staroście brzegowskim Kluszewskim i dokupiwszy jeszcze przyległą kamienicę, zarządził budowę pod kierunkiem *p*. Karola Kremera, ówczesnego budowniczego przy Uniwersytecie Jagielońskim i *p*. Tomasza Majewskiego, adjunkta budownictwa miejskiego.

Skromne fundusze, jakiemi mógł rozrządzać ówczesny Rząd krajowy, nie pozwalały na zakreślenie obszerniejszego planu budowy; o ile więc nawet zbyt szczupłe miejsce pozwalało, pomieszczono w tym gmachu: widownię, scenę, garderobę, malarnię, skład na dekoracje, pomieszkanie dla Dyrekcji,

lokal dla restauracji i salę przeznaczoną na koncerty, maskarady i bale. Sala ta najobszerniejsza w Krakowie, odzieloną jest, od dwóch bocznych saloników ozdobnymi koryntskiemi filarami i służy zarazem do odbywania prób wokalnych w porze zimowej, gdyż teatr nie posiada osobnego w tym celu urządzonego lokalu.

Teatr ten, choć niewielki, dostateczny jest dla dotychczasowéj ludności w Krakowie, i równie mile przedstawia się wewnątrz; nie szczędzono bowiem kosztów, na ozdobne urządzenia wewnętrzne, a szczególniéj na dekoracje, których wykonanie poruczono mistrzowskim w tym rodzaju pędzlom: Gropiusa, Papego, i Bergera, przeznaczywszy na ten cel przeszło 60,000 złp.

Po wykończeniu budowy, scena Krakowska w tym nowym przybytku sztuki, jak wszystko na świecie, rozliczne przechodziła koleje. Miała chwile powodzenia — miała i smutne chwile upadku, tak pod względem artystycznych zdolności aktorów, jak i pod względem współczucia dla sceny, mieszkańców Krakowa.

Na dyrektora do tego nowego teatru, powołano p. Tomasza Chełchowskiego, który talentem i okazywaną dawniéj usilnością, zaskarbił sobie powszechne względy. Tym razem nie wywiązał się jednakże tak godnie, jakby należało, nie czyniąc zadość, ani wymaganiom publiczności, ani przeznaczeniu jakie ma spełniać scena.

Później, powierzył ten Rząd dyrekcją *p.* Hilaremu Meciszewskiemu, obywatelowi Krakowskiemu, człowiekowi wysoko wykształconemu i dającemu rękojmię pomyslniejszego kierownictwa. Opinija nie zawiodła się tym razem, a chociaż krótką, tę epokę można policzyć do najświetniejszych w dotychczasowéj historji sceny Krakowskiéj. Obok dramatu i komedyi wybornie obsadzonych, miał teatr i doskonałych śpiewaków, którzy z jak najlepszem powodzeniem przedstawiali opery, najpierwszych mistrzów włoskich i niemieckich.

W parę lat, skutkiem zbiegu nieszczęśliwych okoliczności, scena znów znacznie podupadła, i nie podniosła się już, ani za powtórnej dyrekcji Chełchowskiego, ani za Fajfra, ani podnosi się teraz pod dyrekcją *p.* Miłaszewskiego, który w zeszłym roku, objąwszy równocześnie dyrekcję sceny Lwowskiéj i Krakowskiéj, wszelkie starania skupia około pierwszéj, wydającéj mu się dojniejszą krówką, aniżeli druga; z czego widać że tylko interes powodował go do objęcia obydwóch dyrekcji. Teatr ten, odnawiany już wewnątrz w roku zeszłym, wygląda dość czysto, i tylko dekoracje dwudziestoletniem używaniem zniszczone i podziurawione, przypominają wykopaliska Herkulanum i Pompei, zatrzymując ślady piękna, które świadczą jeszcze, o klassycznéj urodzie, jak kształtne rysy wiekowéj kobiety, o jéj znakomitych wdziękach za młodu.

SZCZĘŚĆ WAM BOŻE!

Szczęść wam Boże kmiecy ludu!
W krwawym znoju, pośród trudu.
Szczęść wam Boże! — niech pług orze,
Twardą skibę równo kraje;
Niech wam Stwórca dopomoże,
Jedno ziarno w stu oddaje.
Szczęść wam Boże: nie ustajcie,
Choć się czoło potem zleje,
Znojną pracą Boga chwalcie;
Wszak On z wami orze, sieje,
I wciąż czuwa ku obronie,
Pracy waszéj na zagonie.

Szczęść wam Boże i na polu;
Niech pszenica bez kąkolu
Jako złoto się promieni—
Niechaj łąka się zieleni,
Niech wam słonko nie wypali,
Grad nie zniszczy: burzą — gromem.
Niech, kto wiernie Boga chwali,
Będzie szczęśliw i za domem.

Szczęść wam Boże: kiedy z wiosną
Pług swój krzyżem przeżegnacie,
Gdy modlitwę lub radosną
Pieśń za pługiem zaśpiewacie.
Niech się kwiatem barwią łąki,
Po nad polem brzmią skowronki —
Niech wam jasno świecą zorze,
I we wszystkiem szczęść wam Boże!

Szczęść wam bracia rzemieślnicy,
Z młotem, heblem, kielnią w dłoni;
Praca od złéj myśli broni,
Jest jak słońce wśród ciemnicy:
Co nam ducha uwesela,
Czoło w smutku rozpogadza,
Tyle gorzkich chwil osładza,
I szczęśliwych daje wiela.
Więc pracujcie, jak kto może,
Na co czyje starczą siły;
A więc w pracy szczęść wam Boże!
Od kolebki do mogiły.

O szczęść Boże, tym co dziatki
Od grzechu zepsucia chronią,
Jak białe niewinne kwiatki,
Pielęgnują skrzętną dłonią —
Wiodą drogą prawdy, światła:
Niewinną białą gromadkę,
Gdzie uczciwa wzrasta dziatwa,
Tam błogosław taką matkę,
Szczęść jéj Boże, pośród trudu,
W Imię Twoje daj moc cudu.

O szczęść Boże, tym, co znamię
Twéj wielkości, bliźnim niosą;
Idąc w krainy nieznane,
Pośród dzikich, biedni, boso.
Niech ich Twoje wiedzie ramię,
Niech pracują w Twéj winnicy:
Jako Pańscy robotnicy,
Jako święci męczennicy.

O szczęść Boże, tym, co w ciszy,
Gdy ich ucho jęk posłyszy,
Albo ujrzą płacz sieroty,
Ból rozpaczy, łzę tęsknoty:
Śpieszą chętnie z dłonią bratnią,
By łzę otrzeć, nie ostatnią.
Praca taka, w każdéj porze
Wyda plony, szczęść jéj Boże!

O szczęść Boże! o szczęść Boże!
Każdéj pracy, co w pokorze
Miłością Twoją natchnięta,
Jest namaszczona i swięta,
Gdy w Imię Twoje poczęta.
Więc niech się Twa wola stanie,
Błogosław téj pracy Panie. —

Szczęść wam Boże! szczęść wam Boże!
Ludu pracy, w każdéj porze,
Pośród bólu, trudu, znoju,
Szczęść w miłości i pokoju!

JESZCZE O RUHMKORFFIE.

Otrzymawszy więcéj szczegółów o pracach, jakiemi się zasłużył Ruhmkorff, którego wizerunek i życiorys umieściliśmy już w N-rze 3cim Opiekuna Domowego; obznajmiamy czytelników ze znaczniejszemi wynalazkami Ruhmkorffa, i tak: Wynaleziona przez niego w. r. 1851 maszyna, jednoczy dwa sposoby, używane do wywiązywania się elektryczności, t. j: jeden z pomocą maszyn tarczowych szklannych, wydających pewną ilość bardzo słabego strumienia, czyli prądu elektrycznego, ale ciągłości niesłychanéj; drugi tak zwany elektrycznością stosu Volty, wydającego przeciwnie prąd silny, ale nie ciągły. Ruhmkorff połączywszy te dwa rodzaje elektryczności, i nadawszy tem samem większą ciągłość elektryczności stosu Volty, stworzył nowy wytwarzacz elektryczności, odznaczający się nieznaną dotąd obfitością i ciągłością światła elektrycznego. Iskra jego zapala bowiem, nietylko materjały palne, ale topi najtwardsze metale i ziemie najtrudniejsze do stopienia: czyli jednem słowem sprawia wszelkie objawy piorunu, przewiercając szkło nawet na 6 cali warszawskich grube. Doświadczenia tym przyrządem Ruhmkorffa dokonane, przeświadczyły nadto, że iskra z niego wydobyta, zamienia wodę w parę i zdoła naśladować zorzę północną, kombinując różne pierwiastki powietrza. Kolumny światła białego i kolorowego, jakie apparat ten produkuje w naczyniach próżnych lub zawierających gazy, zastosowywano już do oświecania kopalń, do poszukiwań nurków pod wodą i do oświecania wewnętrznych organów ciała ludzkiego; światło to bowiem, tę szczególną ma własność, że wydając silną jasność, nie rozwija żadnego ciepła. Ważność więc z odkrycia tego światła, jest znakomitą; zastosowanie jego w medycynie, jest niewypowiedzianem dobrodziejstwem, gdyż będzie można przejrzeć ciała ludzkie i rozpoznać od razu wewnątrz ukryte, rozmaite chorobliwe objawy.

Inną własnością tego nieocenionego światła elektrycznego, jest jeszcze i to: że zapala mięszaniny gazowe, sprawiając to, że motor wynalazku Lenoira, tylko z pomocą jego, swą czynność odbywać może.

Aparat Ruhmkorffa, może być nadto przydatny, podczas przewiercania tunelów, przy eksploatacji kopalń, do wysadzania w powietrze skał podmorskich, utrudniających żeglugę i stających się powodem rozbicia corocznego tylu statków, o czem dość często słyszymy. W roku 1860, użyto już nawet tego aparatu, do zniszczenia głównego portu Pei-Ho, a raczéj pali żelaznych, jakie Chińczycy umieścili na dnie rzeki, celem uniemożebnienia żeglugi i przystępu okrętów pod miasto.



Czorsztyn.—(str. 84, szp. 2).
(Rysował Kozarski—wycięto w drzeworytni Stifiego i Regulskiego).

W końcu i to nadmienić wypada, że komisja wyznaczona do sprawdzenia wynalazków Ruhmkorffa, próbowała zastąpić parę, przez elektryczność; znalazła jednak, że koszt z zastosowania elektryczności, byłby dwadzieścia razy większy, w porównaniu z parą.

Niedługi więc czas, a już tyle znakomitych w zastosowaniu wynalazków, przysporzyło nam odkrycie Rhumkorffa, a czem się jeszcze przysłuży, przyszłość pokaże. W każdym jednak razie, imię i zasługi tego męża, są już nieśmiertelnemi, przynajmniéj, póki świata i ludzi.



Zamek Niedzica i góry Pieniny.
(Rysował Kozarski — wycięto w drzeworytni Stifiego i Regulskiego).

PODRÓŻ w TATRY.

(*Dokończenie.*—Patrz Nr. 3, 4, 5, 6, 8, 9 i 10)

VIII.

CZORSZTYN—PIENINY—SZCZAWNICA I SZMEKS.

Na zakończenie opisu, dodam jeszcze wzmiankę o kilku miejscach, podnoszących wartość i piękność Tatrów.

W odległości półtrzeci mili od Nowegotargu, w kierunku wschodnim, wznoszą się na nagiéj skale

resztki Czorsztyńskiego zamku. Z pozostałego szkieletu, można odgadnąć jego potęgę. Skały w około niego tworzyły mur naturalny a położenie samo i siła murów, czyniły go niedostępnym i niezdobytym. Ale przyszedł piorun z góry i roztrzaskał twarde mury, a resztę zniszczenia, dokonał właściciel Czorsztyna. Nie uszanował wielkości murów pan D., i rozbierać je począł, aby z nich dobyć trochę żelaza, i z odłamów historycznego zamku wystawić *karczmę!* Dopiero rząd zabronił tego wandalizmu; wtedy pan D. kazał dla zrehabilitowania się w opinji, wyciosać z drzewa coś nakształt niedźwiedzi, pomalować na czarno i poumieszczać na skałach w około Czorsztyna, aby potomność wiedziała, że kiedyś w tych miejscach były lasy! (intratne lasy). Na drugiéj stronie Dunajca, na węgierskiéj już ziemi, wznosi się zamek Niedzica, dobrze jeszcze utrzymany. Przeszliśmy najprzód do niego po moście, nie dawno na rzece postawionym.



Czerwony klasztor w Pieninach.—(str. 85, szp. 2).
(Rysował Kozarski—wycięto w drzeworytni Stifiego i Regulskiego).

Zamek Niedzica stoi na niewielkiéj skale — północny bok góry cały w świerki ubrany, z za których wychylają się białe zamkowe mury. Wejście do zamku jest od południowéj strony—droga pochyła, idąca wzdłuż murów, prowadzi do bramy, nad którą herb rodziny Paloczych. Dziwne na nas uczynił wrażenie ten zlepek starych murów i nowych przybudowań; wyglądało to tak, jak biała brabancka koronka na zardzewiałéj zbroi rycerza. Zwiedziliśmy pośpiesznie komnaty, (bo już zmrok zapadał), w których ledwie kilka starożytnych sprzętów zasługuje na uwagę, reszta nowsze czasy przypomina.



Kaplica w Szczawnicy.—(str. 86, szp. 1).
(Rys. Kozarski—wycięto w drzeworytni Stifiego i Regulskiego).

Już księżyc wypłynął z za lasów, gdyśmy opuszczali zamek, wracając na Czorsztyn. Noc była śliczna, pogodna. Jasna, iskrząca gwiazda, prowadziła po niebie księżyc, co wydało się czarującem — rzeka oświecona księżycem błyskała srebrnemi łuskami, a w ciemnyeh lasach, świętojańskie robaczki, jak spadające gwiazdki migotały. Na tle jasnego nieba sterczał Czorsztyn; jeden odłam muru wyższy nad inne, zdawał się jak ręka wyciągnięta ku niebu i grożąca. Uchwaliliśmy, że zbrodnią byłoby przespać noc taką cudną, i postanowiliśmy przepędzić ją w murach Czorsztyna. Wprzód jednak, poszliśmy zamówić czółna na jutrzejszą przejażdżkę Dunajcem do Szczawnicy. Koło północy weszliśmy na Czorsztyn, który na nas patrzał pustemi oknami, jak trupia czaszka, gdy z niéj oczy wyłupią — i tam zostaliśmy do rana.

Na drugi dzień rano, jeszcze gęsta mgła leżała na polach, kiedy siedliśmy w łodzie. Łodzie górskie nie są wcale podobne do naszych: płytkość rzeki, szybkość jéj, wymagały odpowiedniego urządzenia łodzi. Łódź górska, jest to poprostu w pniu drzewa wyżłobione korytko długie a wązkie, a tak grube, że kamienie, po których często w płytkich miejscach łodzie przeciągać muszą, dna ich nie przerżną; wązkie zaś muszą być dla tego, że często wypada płynąć bardzo wązkim przesmykiem, między sterczącemi z wody skałami. Że zaś tak urządzona łódka, bardzo łatwo na bystréj Dunajcowéj wodzie przewrócićby się mogła, więc wiążą je po dwie, a w potrzebie dopiero rozwiązują. Sterowanie na bystréj, niejednostajnéj wodzie, wymaga wielkiéj zręczności i znajomości koryta rzeki. Zdarzyło się jednego roku, że podczas napływu wody z góry, rzeka wezbrała i całe towarzystwo płynące podówczas, z wielkiem wysileniem tylko od zguby uratować się zdołało.

O ósméj dopłynęliśmy do Czerwonego klasztoru, tak nazwanego od pokrycia swego, i tam posiliwszy się w gospodzie hożéj, rumianéj Węgierki, ruszyliśmy w Pieniny. Rzeka płynie tu wśród uroczych gór i lasów, których piękność i rozmaitość opisać trudno — trzeba to widzieć samemu, aby można mieć o tem dokładne wyobrażenie. Widziałem widoczki zdjęte z tych miejsc, ale wcale mnie nie zachwyciły, i nie wzbudziły tego wrażenia, jakiego doświadczałem płynąc skrętami rzeki, i na każdym skręcie, witając okrzykiem podziwienia, coraz to nowe widoki.

W połowie téj uroczéj przejażdżki, po lewéj stronie znajduje się kapliczka i resztki murów, które służyły za schronienie Św. Kindze, w czasie napadu Tatarów. Zabytek ten nie jest widzialny od strony rzeki—dowiedziałem się o nim z opowiadań górali.

Zapomniałem tu dodać, że podczas jazdy często bardzo zastępowały nam drogę wiejskie dzieci, a nawet dziewczyny dorosłe, które idąc wpław w wodę, często po pas sięgającą, witają gości i tworzą nam nimi girlandy z kwiatów. Miłemi byłyby te oznaki gościnności i radości, gdyby się nie wiedziało, że ostatecznym ich celem, jest wyłudzenie od podróżnych kilku groszy. Nie lubię podobnego rodzaju zarobkowania, i dla tego za fałszywą radość i udane uczucia, płaciłem także fałszywą monetą. Miałem w torbie stare pruskie miedziaki, i te obficie rzucałem chłopcom i dziewczętom. Lud mieszkający bliżéj Szczawnicy jest więcéj urodny, więcéj schludny; ale też cywilizacja, a raczéj starcie się z ucywilizowaną klassą, popsuło go, uczyniło go chytrym na pieniądze, nieżyczliwym.

Szczawnicy saméj opisywać nie będę — bo położenie nie szczególne, a nazwy źródeł i ich zalety, już każdy czytał nie w jednym opisie — ograniczę się więc tylko na kilku uwagach o zakładzie i towarzystwie.

Zakład kąpielowy, lubo ma wiele niedogodności i o wiele zostaje w tyle za zagranicznemi — przecież ma wiele stron dobrych, a główne niewygody i przykrości, leżą w samem towarzystwie. Miejsce bowiem przeznaczone dla poratowania zdrowia, stało się polem popisów toalety. Śmiech i litość brały mnie naprzemiany, gdym ujrzał na spacerze w gorące południe damy wystrojone, mężczyzn czarno ubranych. Jakaż to niewygoda! Niech by kto chciał złamać te formy, i odważył się wyjść w ubraniu, stosownem do pory roku i miejsca, wnetby odwrócono się od niego, krzywiono nosem i zarzucano by mu brak wychowania i t. d. Każdy więc rad nie rad, musi pocić się w galowem ubraniu, i defilować przed oczami, krytykującego się nawzajem towarzystwa.

Do tego dodać potrzeba rozdział na pojedyńcze kółka i kółeczka, aby sobie do reszty zbrzydzić Szczawnicę, i westchnąć do zagranicznych kąpieli, gdzie brak etykiety i elegancji, a przynajmniéj dowolność w ubiorze, jedzeniu i postępowaniu, stanowią jedną z wielkich przyjemności.

Całkiem inaczéj znalazłem w Szmeksie, dokąd wyjechaliśmy nazajutrz, kierując się na Kaesmark. Szmeks leży w ślicznéj ustroni, w pięknym świerkowym lesie, u stóp Łomnicy. Od domków szwajcarskich, wdzięcznych i schludnych, rozchodzą się w różne strony lasu kręte ścieżki, po których chorzy bez utrudzenia, bez krytyki śledczego oka, bez żenady, spacerów używać i miłem balsamicznem powietrzem lasów oddychać mogą. W pewnych godzinach, towarzystwo bez rodziny schodzi się do sali na konwersację, i mile spędza godzin kilka. Ceny w restauracji o wiele umiarkowańsze, niż w Szczawnicy. Dodać tu jeszcze muszę krótką wzmiankę, o kuracji zimnéj wody (Prysznitz), do któréj wszelkie urządzenia są ze znajomością higieniczną i ze smakiem porobione.

Na tem kończę mój opis Tatrów, tego najpiękniejszego kątka naszéj ziemi.

NOWE ŻELAZKO DO PRASOWANIA.

dla krawców, kapeluszników, i t. p.

Używane powszechnie żelaza krawieckie, przedstawiają w użyciu wiele niedogodności. Ogrzewane na ogniu z drzewa lub węgla, smolą się lub pokrywają sadzą, tak że po każdem ogrzaniu, wymagają starannego oczyszczenia, które pomimo to jest często niedostatecznem, przy prasowaniu jasnych materjałów. Jeżeli niedogodność ta usuniętą zostanie przez ogrzewanie żelaza w piecykach, umyślnie do tego celu urządzonych, w których żelazo nie zostaje w bezpośredniem zetknięciu z płomieniem, zawsze jednak pozostaną inne niedogodności jakoto: prędkie stygnięcie, niejednostajne ciepło i konieczność posiadania kilku narzędzi tego rodzaju, aby robota bez przerwy mogła być prowadzoną. Wady te w wielkiéj części usunięte zostały w żelazku do prasowania pomysłu p. Japy fabrykanta w Beaucourt we Francji. Fig. 1 (str. 88) przedstawia przecięcie, zaś Fig. 2. plan podobnego żelazka. Składa się ono ze sztuki żelaznéj C C' pustéj zewnątrz i starannie wygładzonéj na górnej i dolnéj swéj powierzchni; ma ono kształt zwykłego żelazka, a tylko różni się od niego większą wysokością. Sztuka CC' osadzoną jest na rączce A'A' w ten sposób, że może wolno około niéj się obracać, lecz obrót ten może dowolnie być wstrzymany przez pokręcenie szrubki C (Fig 2). Z tyłu żelaza przysrubowaną jest do niego lampka olejna lub lepiéj spirytusowa B, urządzona w ten sposób że knot w niéj zanurzony przechodzi przez rurkę zgiętą *e* aż do środka żelaza. Przed rozpoczęciem roboty odszrubowywa się lampka, napełnia się ją olejem lub spirytusem, zatyka się korkiem *b'*, zapala i napowrót przytwierdza do żelaza. Płomień podsycany ciągiem powietrza, sprawionym przez otwory znajdujące się w bocznych ścianach żelaza, ogrzewa ścianę jego górną, a gdy ta dojdzie do żądanéj temperatury, obraca się żelazo CC' około osi rączki, tak aby ściana górna przeszła na dół; przykręca się szrubka *c* i przystępuje do prasowania. W tem połączeniu, płomień lampy zacznie znów ogrzewać ścianę górną, a przez stosowne uregulowanie płomienia, można zawsze tak się urządzić, że gdy ściana dolna ostygnie, górna będzie należycie ogrzana, i wtedy odwróciwszy na nowo żelazo, można jednem narzędziem prowadzić robotę bez przerwy. Obok téj korzyści, żelazko p. Japy nigdy nie smoli, gdyż ogrzewane jest z wewnątrz, i niestygnie tak prędko jak żelaza zwyczajne, gdyż jakkolwiek płomień lampy ogrzewa głównie ścianę górną, jednak część ciepła udziela się i ścianie dolnéj, z powodu, iż żelazo jest dobrym przewodnikiem ciepła.

ROZMAITOŚCI.

— Pomiędzy drobną szlachtą tytuły wiele znaczą. Jeden drugiemu nigdy nie powie ty, ale zawsze jegomość lub waszeć. Dopiero gdy się rozgniewają i chcą sobie dopiec, używają wyrazu ty, na oznaczenie niby, że jeden jest niższy od drugiego, — że nie jest szlachcicem. Ale bardzo śmiesznem jest wysłowienie owego ty. Słyszałem raz, jak jeden z drugim kłócąc się i chcąc go tyknąć, wołał w gniewie: „Czy *wasze* myśli, że *wasze* jest *wasze*, ale *wasze* nie *wasze*, tylko *wasze* ty!" Zanim zatem powiedział mu *ty*, sześć razy zatytułował go *wasze*.

— Z okoliczności silnych u nas mrozów w Lutym, dochodzących do 22 stopni, nie zawadzi przytoczyć jakie to mrozy bywają w innych stronach. Otóż w Laponji daleko od nas na północ, jest mała osada zwana Masi. Mróz tam dochodzi do 40 stopni. Przez całą jesień i zimę nie ma dnia, tylko noc; wprawdzie nie zupełnie ciemna, bo świeci tam pyszna północna zorza. Śnieg dokoła i tak rażącéj białości, że często nagle spojrzawszy, można zachorować na oczy. Kto wyj-

dzie na dwór bez osłony na twarzy, natychmiast nos mu umarznie. O wacie ani słychać, chodzą tylko w porządnych futrach od stóp do głów okryci. Na głowę kładą niby kaptur zakrywający twarz całą, a dla patrzenia, zostawiają małe otwory opatrzone ciemnem szkłem. Bez tego można albo oślepnąć albo zmrozić oczy, czyli także oślepnąć. Wody przez pół roku nie znają tam prawie, bo wszystko marznie. Jedynym napojem jest tylko mocna wódka, i ta niekiedy zlodowacieje, albo też pijąc flaszką, czasami przymarza do ust tak, iż trzeba ją odrywać z kawałkami skóry i kaleczyć się do krwi. Mróz czterdziesto stopniowy tak oziębia metale, że dotknąwszy się na przykład palcami guzika, natychmiast jakby od sparzenia bąbel na palcu wyskakuje. Lasów tam huk, więc w izbach palą ciągle i jest ciepło; ale gdy drzwi się otworzą, zimne powietrze jakie wpadło ze dworu, natychmiast ścina wilgoć w izbie i w postaci śniegu spada na podłogę. A jednak ludzie żyją w tych lodowych stepach i co więcéj, jeśli którzy przypadkiem zajrzą do środkowéj Europy, gdzie wygodnie i ciepło, tęsknią zaraz za swym mrozem i co tchu wracają między bory i śniegi. Nic dziwnego, bo to ich rodzinne miejsce, ojczysta kraina. Ich miłość do ziemi własnéj, upiększa też ziemię, stwarza mały raj swojski, droższy od wszystkich skarbów obcego świata.

— Powiadają, że świat teraz mądrzejszy, że wszystko co teraz robią, jest daleko lepszem od tego, co zrobili dawniéj. Ale bajki to prześwietny sądzie! W żadnym ze starych kościołów warszawskich, w czasie deszczu lub odwilży, modlącym się na głowę woda nie ciecze. Dowód że dawni murarze, architekci, ceglarze lub blacharze, dobrze robili. A w nowych zupełnie inaczéj. Ot w niedzielę, dnia 19 Lutego r. b. w południe, w czasie summy w Kościele parafialnym św. Karola Boromeusza, z sufitu środkowéj nawy tak ciekło, iż pobożny ludek nawet uklęknąć niemiał gdzie, i niejeden suchy przybywszy ze dworu, w kościele, pod dachem z blachy miedziannéj, zmokł porządnie. Nie bardzo to przemawia, ani za budowniczym, ani za blacharzem, ani też za gorliwością nadzoru parafialnego, który przecież, o porządek świątyni dbać powinien, i w razie potrzebnéj reparacji, donosić o tym Władzy. W stolicy, w nowym Kościele parafialnym, zmoknąć lub klęczyć w wodzie, to już doprawdy zaniedbanie nie do darowania.

— Każdy aż nadto dobrze wie, że na świecie nikt nic darmo nie da. Żebracy są tu tylko wyjątkiem; a i tym darmo grosza nie damy, żądając od nich, aby za duszę tego a tego zmówili Zdrowaśkę. Niesłusznie więc ci czynią, co na gospodarzy ciągle wieszają psy, za to, że oni wymagają opłacania komornego. Nawet podwyższanie komornego, byle z miarą, jest usprawiedliwione, bo co rok prawie podnoszone są podatki i co dzień drożeją rozmaite przedmioty do użytku powszechnego służące. Ale jeżeli gospodarze podwyższają komorne, w zamian powinni starać się, aby jak najwięcéj wygód zapewnić swym lokatorom. Niektórzy jednak panowie właściciele domów, traktują swych lokatorów nie tylko po macoszemu, ale wprost po bisurmańsku. I tak jeden, mając ogromny trzypiętrowy dom przy pryncypalnéj ulicy, pod względem korzystania ze wszystkiego, doszedł do wysokiego stopnia doskonałości. Ponieważ ulica, na któréj ów dom stoi, jest bardzo uczęszczaną, przeto kobiety handlujące owocami i pomarańczami stają tam zazwyczaj; od tych więc kobiet szanowny właściciel ściąga codziennie po 5 dużych jabłek, czyli mniéj więcéj po 15 groszy od jednéj, a od drugiéj po 2 pomarańcze czyli po 18 groszy, i za co? za to że biedne kobiety stoją tam pod murem godzin kilka. Daléj mleczarka, która tam stoi od 6 do 8 z rana, musi dawać codziennie pół kwarty śmietanki czyli 15 groszy. W całym domu była tylko jedna nie wielka góra do wieszania bielizny, właściciel wynajmuje ją na jakiś skład, a biedni lokatorowie, z mokrą bielizną muszą szukać gościny w sąsiednich domach. Niedawno policja nakazała właścicielowi poreperować i powiększyć miejsca skryte, zwane melancholicznemi gabinetami; lokatorzy widząc reperacje, pocieszyli się mocno, że przecież choć raz będzie porządnie i szeroko; aliści ku wielkiemu swemu zdziwieniu, znaleźli owe gabinety tak wązkie, płytkie, krótkie i nizkie, że potrzeba było chyba jakiéjś machiny, któraby biednych lokatorów w te dziuple mysie wpychała, a dla czego ta zmiana na gorsze? dla tego że pan właściciel, z tyłu owych gabinetów postawił dwie komórki i ma podwójny zysk, raz za wynajęcie owych komórek, a powtóre, że niejeden nie mogąc wcisnąć się w owe dziuple, idzie do sąsiedniego domu, a dół się nie zapełnia, i panu entreprenerowi od oczyszczania płacić nie trzeba.

— W resursie kupieckiéj, urządzoną jest wystawa obrazów, ze zbioru p. Lachnickiego. Są to dzieła samych obcych i to dość dawnych malarzy, np. Jana van Eyck, wynalazcy malowania farbami olejnemi, który żył od 1370 do 1450 roku.

W istocie obrazy tam są bardco piękne. Publiczność dosyć licznie nawiedzająca wystawę, zazwyczaj przed bardziéj pięknemi lub oryginalnością układu odznaczającemi się obrazami, tłumniéj się skupia. Zależy to także w wielkiéj części od wieku, zatrudnienia lub płci nawiedzających. I tak: staruszkowie znający już dobrze życie, pilnie oglądają pełne prawdy w przedstawieniu obrazy Jana Molenaego: *Grę w karty*, lub Antoniego Allegri *Matkę Boską z Chrystusem*, *ś. Katarzyną*, *z Hieronimem i aniołkami*, tylko lwa na tym ostatnim obrazie przyrównywano do kota. Szanowne czytelniczki romansów Dumasowskich, z wielką ciekawością przyglądają się obrazowi Franciszka Clouet, przedstawiającemu *Dianę z Poitiers*, oglądają każdą osobę oddzielnie, i przypinają łatkę, a może i łatki sławnéj królowéj francuzkiéj Katarzynie Medicis. Gosposie znowu nasze które niestety, coraz to bardziéj nikną, z prawdziwą radością zwracają uwagę na zgodnie z naturą oddane obrazy von Bochsa, przedstawiające różne *Jarzyny*, jak kapustę, kalafiory, szparagi i inne. Młodzież znowu męzka i dorosła, rozpłomienionem okiem spogląda na znakomity obraz Velazqueza, na którym bawi trochę zestraszony Mars, a nęci pełna wabności, czaru i spokoju, znana bogini Venus. A i staruszkowie radzi także przystanąć przed tym obrazem. Pobożni, których u nas na pozór przynajmniéj nie mało, rozważają i wpatrują się w obrazy *św. Sebastjana* przez D. Zampieri i *Matki Boskiéj Mléczněj*, przez Rafaela. Znawcy uwielbiają piękny obraz Bartłomieja Schidone, przedstawiający *św. Magdalenę* modlącą się; a studenciki znowu, przypominając sobie piastunek baśnie, z oniemieniem i bojaźnią śledzą wszelkie przybory strasznego *Czarnoksiężnika*, wymalowanego przez Salwatora Roza. A innych obrazów jest tam jeszcze mnóstwo. Wszystkie opisywać, zabrakłoby tu miejsca, kto ciekaw i chętny dopomódz biednym, niech idzie i obejrzy. Dochód bowiem z biletów, idzie na ubogich Towarzystwa Dobroczynności. W niedzielę bilet kosztuje 20 groszy od osoby, w inne dni powszednie po złotemu, a w czwartki, po pół rubla. Byłoby nieźle, gdyby Towarzystwo, chcąc dać możność mniéj zamożnym mieszkańcom Warszawy poznać ową piękną wystawę, zmniejszyło na jednę lub dwie niedziele cenę biletu, na groszy 5 naprzykład, uwiadomiwszy wprzódy o tem publiczność.

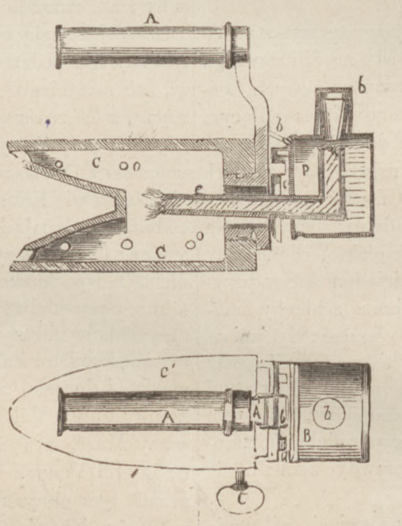
— Wiadomości nadeszłe ze Lwowa donoszą, iż tam w sali ratuszowéj były już dwa odczyty bezpłatne, *popularne* z nauk przyrodzonych dla młodzieży rzemieślniczéj. Kiedy Lwów liczący wszystkiego 70,000 ludności, potrafił urządzić odczyty i co więcéj, na tych odczytach mnóstwo zgromadzić słuchaczów, pytanie dla czego Warszawa nie mogłaby się także na coś podobnego zdobyć. Jak we Lwowie, tak i u nas, Władza temu tamy kłaść nie będzie. Sal stosownych nie brak. Zaś pomiędzy profesorami Szkoły Głównéj lub

innych szkół, jest wielu, którzyby zdaje się nie odmówili dwóch godzin na tydzień co Niedziela, dla roztwarcia pysznych skarbów wiedzy, mniéj oświeconéj współbraci. Na początek, możnaby urządzić wykład nauk przyrodzonych, fizyki, chemij, i hygieny. Panowie: Baranowski, Aleksandrowicz, Natanson, Taczanowski Władysław, Miecznikowski, Jastrzębowski i inni, mogliby rozebrać pomiędzy siebie pojedyńcze przedmioty.

— Dowiadujemy się, że w Petersburgu istnieje klub dla czeladzi rzemieślniczéj pod nazwą *Palma*. Zaledwie otwarty w przeszłym roku, nie mało już przyniósł korzyści dla ogółu. Celem klubu nie jedna przyjemność, ale i pomyślność rzemieślników, którzy zbierają się tam, nie dla tego tylko ażeby się zabawić, ale też i dla nauki. Tam również dla przyjezdnych rzemieślników cudzoziemców, urządzone są bardzo tanie i dogodne pomieszkania. Każdego dnia wieczorem od godziny 9 do 10, członkowie klubu uczą się języków: rossyjskiego i niemieckiego, zajmują się rysunkiem, jeografią, arytmetyką, gimnastyką, a w niedzielę od godziny 6 do 9 wieczorem, wykładane tam są w sposób popularny, ekonomja polityczna fizyka, chemja, historja i t. p.

Podając tę wiadomość, cieszymy się nadzieją, że i u nas kiedyś miejsce hałaśliwych *gospod*, zastąpią przybytki skromnéj zabawy i pożytecznéj nauki.

— Lud nasz wiejski, stroniąc zazwyczaj od lekarzy, pokłada całą ufność w tak zwanych znachorach, owczarzach i znachorkach. Że ludzie ci, są po największéj części wydrwigroszami i jako nieznający się na lekach, nikomu poradzić nie mogą, a także często i zaszkodzą zdrowiu, to między innemi następne zdarzenie wykaże. W roku 1845 w Galicyi wskutek powodzi, wywiązał się na Powiślu tyfus. Lud padał jak muchy. Wtem zjawia się jakiś urlopowany żołnierz z Bojanowa i ogłasza włościanom, że na tę chorobę najlepszem lekarstwem jest polewka z trupów zmarłych żydów. Lud ogłupiony wierzył i miasto iść do doktorów, szedł rabować świętokracko smętarze, wydobywać trupy, warzył obrzydliwą polewkę, i rozumie się po takiem lekarstwie dobijał chorych. Aż władza w to się wdała, włościan za nieuszanowanie grobów wtrącono do więzienia, a ów urlopnik bojąc się zasłużonéj kary, sam się w więzieniu powiesił.



Żelazko do prasowania.
(Rys. Jastrzębowski — wyciął na drzewie L. R.)

— Dochodzi nas wieść interesująca każdego, a niemało i klassy średnie, iż w Warszawie mają być zniesione przepisy taksy na mięso i wolna konkurencja ogłoszoną. Czy z tego spodziewać się należy zniżenia ceny mięsa? Z początku może być, że nie, gdyż spekulanci sprowadzający bydło ze stepów na potrzeby Warszawy i rzeźnicy trzymają silnie między sobą. Lecz jak się panowie rzeźnicy nasi przekonają, iż bez spekulantów obejść się można, że bez opieki tych dobroczyńców, taniéj woły się nabywają, to i cena mięsa niezawodnie zniżoną będzie. Jednocześnie mają być zaprowadzone zmiany w urządzeniu jatek, czego rzeczywiście i czystość wymaga. Jeszcze kto zamożny da sobie radę, ale biednemu dostają się ochłapy za drogie pieniądze. O przedmiocie tym wspominać będziemy nieraz.

— Od mięsa zrobiemy krok śmiały i przejdziemy do Historji żydów w Polsce, którą to książkę w trzech tomach napisał młody literat izraelita p. Aleksander Krauschar. Zdaje nam się ta wiadomość ważną, nietylko dla tego, iż w kole naszych czytelników liczymy zapewne nie jednego starozakonnego, ale i z tego powodu, że w dziele tem wyświetlony zostanie stosunek żydów, między nami osiadłych, do prawa, do historji i losów naszego narodu należący.

— Dotknąwszy książek, polecić także możemy ze Lwowa świeżo nadeszłą choć dawniéj już nieco wydaną historją o *Lisie mykicie*. Jest to bardzo smieszna i pięknym wierszem napisana opowieść wybiegów lisa od kary, za niecne postępki. Historja da się zastosować i do wielu ludzi, a czytelnik naturalnie łatwo sobie sens moralny odnajdzie. Rzecz samą napisał wielki poeta niemiecki Goethe, a autor polski naśladował go bardzo szczęśliwie, przywodząc dykteryjki i zdarzenia miejscowe. Warto przeczytać, bo się i naśmiać można.

— Z miejskich nowinek wspominamy jeszcze, iż z wiosną przystąpią do budowy kolei żelaznéj przez miasto, od dworca kolei Petersburgskiéj do Warszawsko-Wiedeńskiéj. Tudzież o zamiarze założenia apteki za Wolskiemi rogatkami, gdzie ma także osiąść jeden z młodych doktorów. Byłby to wielki pożytek dla stron tamtejszych.

Anegdoty.

— Śród zwalisk Babilonu Muzułmanie zostawili drzewo, do którego przywiązują konie, jedyny ślad roślinności śród popiołów i gruzów. Jest to drzewo obce tym klimatom i pochodzące z Indjów; podanie mówi, że niegdyś kwitło, a starożytność jego wierzyć każe, że jest to szczątek z rajów, któremi Babilon był upiększony.

— Kiedy kula nasza ma 1,719 mil średnicy, zaledwieśmy w niektórych miejscach spuścili się w głąb' na pół mili. Co do wysokości, Humboldt dostał się na górę Chimboraso na 19,300 stóp, Gay-Lussac w balonie na 23,000 stóp [1]).

— Jedną z wysp, gdzie kilku rozbitków angielskich zawinęło w roku 1589, znaleźli w roku 1667 Hollendrzy zaludnioną przez 12,000 ludzi, pochodzących tylko od czterech matek.

— Niegdyś ze wszystkich wież Krakowa, cokolwiek przed brzaskiem zorzy, grano na trąbach i innych instrumentach dętych, witając wschodzącą zorzę, raczéj twórcę zorzy i wszechrzeczy.

— Lekarz francuzki Burdoa podsłuchał cholerycznego, którego już kurcze śmiertelne brały, że wymówił wyraz: brzoskwinia, — i dając mu brzoskwinie, w zamian wszelkiego lekarstwa, wyleczył chorego.

— Dąb indyjski, nie ma równego sobie na świecie w budownictwie lądowem i okrętowem. Pod Bagdadem jeszcze sterczą jakieś olbrzymie gruzy starego grodu, które już od lat tysiąca rozsypały się w zwaliska, od lat tysiąca pokruszyły się jego ciosy, głazy twarde; lecz pałacowe belki stare z tego dębu wyciosane, leżą na tych gruzach tak zdrowe, jakby je wczoraj przyniesiono z puszczy.

[1]) Dwie stopy idzie na jeden łokieć.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 3 (15) Marca 1865 r.